№ 3. 16. Stycznia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kobieta i prawo publiczne.

M. Ostrogorski. *La femme et le droit public* 1892

Zbadanie stanowiska kobiety wobec prawa publicznego wyznaczył fakultet prawa w Paryżu, jako temat do rozprawy na konkurs międzynarodowy. Już samo zwrócenie uwagi przez ciało naukowe na kwestję kobiecą jest dla sprawy równouprawnienia kobiet objawem znamiennym.

Objaw ten tembardziej zwrócić na się powinien uwagę, gdy zaznaczymy, że autor dzieła, z którego chcemy zdać w krótkości sprawę czytelnikom, dzieła uwieńczonego na konkursie nagrodą, w zasadzie zajmuje stanowisko sprawie politycznej emancypacji kobiety przychylne. Powiadamy: *w zasadzie*, gdyż nie obronę równouprawnienia kobiety podjął p. Ostrogorski, lecz studjum z dziedziny historji i ustawodawstwa porównawczego.

Daje nam autor w rozdziale pierwszym obraz praw kobiety w rodzinach panujących, jako kandydatek do tronu i regencji. Dalej następuje przedstawienie praw politycznych kobiet i ich udziału w życiu parlamentarnem w państwach reprezentacyjnych. Samorządowi lokalnemu i stanowisku w nim kobiety poświęca p. O. rozdział trzeci. W czwartym zajmuje się urzędami publicznemi, sądami przysięgłych i adwokaturą i rozpatruje położenie kobiet na tych polach pracy publicznej. Indywidualnym prawom publicznym kobiety (jako to: prawu petycjonowania, stowarzyszeń, wolności prasy, nauczania i wolności profesjonalnej), poświęca autor rozdział IV.

Nie możemy tu powtarzać za autorem jego wykładu według podanego wyżej szematu — nawet w streszczeniu. Zwrócimy tylko uwagę, że, wzorem francuskich pisarzy w ogólności, dał nam autor rzecz wprawdzie ściśle naukową, napisaną jednak tak przejrzyście i jasno, że jest ona i dla szerszego ogółu przystępną.

Zaznaczywszy jak walka o prawa kobiety poguje się i ogarnia coraz to szersze koła tak kobet jak i całego społeczeństwa, jak znajduje posłuch u mężów stanu i w sferach rządzących, jak powoli ustępuje z pola dotychczas niezłomny w swych zasadach prawodawca, a kwestja nadania kobietom praw politycznych staje się jakby walorem, notowanym na giełdzie politycznej — zapytuje autor; czy rzeczywiście ustrój społeczny jest na drodze zmian społecznych?

Z krzyżujących się na polu walki głosów, rozmaitych partyj politycznych niełatwo wydobyć jasną, wyraźną odpowiedź. Ale ponad areną polityczną, na której walczą rozmaite prądy, usiłujące narzucić społeczeństwu swe dążenia, jest sędzia rozjemczy, a tym sędzią — prawo. Pod potrójną swą postacią: ustawodawstwa, jurysprudencji i nauki prawa — przygląda się ono walce i notuje ciosy, ale te tylko, które trafiają do celu. To też — pomijając chwilowe zboczenia i zapomnienia — prawo daje nam zawsze wierny obraz owej linji, którą zakreślają w swych oscylacjach ideały społeczeństwa w pewnej danej epoce. W ustawach rozmaitych krajów, o ile one dotyczą politycznych i publicznych praw kobiet, znajdziemy wizerunek faz, jakie przechodzi walka o prawa kobiety na rozmaitych szerokościach kuli ziemskiej i dostrzeżemy granice, które ruchowi temu społeczeństwo tymczasowo zakreśliło.

Studja nad temi ustawami pozwalają autorowi zauważyć i zaznaczyć, w jakim kierunku kroczy ustawodawstwo ucywilizowanych krajów Europy i Ameryki w kwestji praw publicznych kobiety. „Wielka rzeczpospolita amerykańska — powiada autor — wolna od tradycji i przesądów starego świata, z demokracją płynącą z rozwiniętemi żaglami po oceanie postępu, ze społeczeństwem śmiało zaglądającem w oczy każdej nowej idei — rzeczpospolita owa daje nam przykład bardzo ciekawy i pouczający zarazem. Amerykanie usuwają jednę po drugiej wszystkie zapory, stojące na drodze do zrównania kobiety z mężczyzną pod względem socjalnym i dopuszczają oni kobiety nietylko do podrzędniejszych urzędów publicznych, ale i do adwokatury, nie wyłączając obrony w najwyższym sądzie Unji. „Nie wolno nikomu, bez różnicy płci, stawić przeszkód w obiorze zawodu lub powołania, nie zabronionego prawem“ — głoszą nowsze ustawy Ameryki północnej. Takie jest hasło doby obecnej. Ilekroć jednak podnoszoną bywa kwestja politycznego równouprawnienia kobiety, Amerykanie

stają okoniem. Napróżno obrońcy emancypacji odwołują się do prawa natury. Zarówno opinia publiczna, jak i sądy Ameryki północnej potępiają teorję atomistyczną, wedle której każdemu osobnikowi należy się pewien ułamek władzy politycznej. Prawo gł sowania — są słowa wyroku trybunału w sprawie głosowania kobiet — nie jest i nie powinno być prawem absolutnem. Sam fakt, że rozszerzenie w tym kierunku prawa głosowania byłoby przy obecnym stanie oświaty zgubnem dla cywilizacji, wystarcza dla rozstrzygnięcia kwestji w duchu odnośnym".

Rozpatrzenie prawodawstwa krajów europejskich doprowadza autora do takiego samego wniosku, a mianowicie, że większość społeczeństw ucywilizowanych stanowczo weszła na drogę umysłowego i ekonomicznego równ uprawnienia kobiety, pozostawiając jednak na stronie zrównanie obu płci pod względem praw politycznych.

Takim jest dzisiejszy stan rzeczy, zwiastujący czasy, kiedy nie będzie przedziału między prawem publicznem mężczyzny a kobiety.

Żydzi o kwestji żydowskiej.

II.

Broszura p. W. Feldmana „Asymilatorzy, Sjoniści i Polacy" (Kraków, 1893) składa się z dwóch części. Pierwsza połowa, w której autor polemizuje z formującym się obecnie na naszym gruncie prądem żydów-narodowców czyli palestyńczyków, jest niewątpliwie lepsza od części drugiej, w której autor rozwija swój pozytywny program asymilacji żydowskiej, a wreszcie przedstawia krytycznie stosunek ogółu do żydów.

Ponieważ o prądzie narodowym żydowskim mówić będziemy w jednym z następnych rozdziałów naszego referatu, przeto na razie pomijamy tutaj tę część pracy p. Feldmana, przypatrzymy się więc jedynie jej rezultatom pozytywnym.

„O losy całego kraju chodzi przy rozwiązywaniu lub zaniedbywaniu kwestji żydowskiej, o najistotniejsze jego sprawy", mówi słusznie p. Feldman we wstępie drugiej części swej broszury (str. 39). Poprawia się nawet i podstawia zamiast „kraju" — naród. „Więc kwestja żydowska jest kwestją narodową, jest częścią integralną kwestji polskiej". Czy tylko polskiej? P. Feldman nie zadaje sobie tego pytania, co, zdaniem naszem, nie pozwala mu spojrzeć na sprawę zasadniczą i stawia go samego w dość delikatną pozycję.

Przyznając jednak ogółem słuszność powyższym słowom, zapytajmy się, jak sobie przedstawia p. Feldman rozwiązanie kwestji żydowskiej ze stanowiska narodowego? Zdaniem jego „ten punkt widzenia jest obecnie u nas zaciemniony. Dawniej nie ulegał on wątpliwości. Od sejmu czteroletniego do Smolki pojmowano sprawę Żydów w Polsce jako sprawę „uformowania" z nich obywateli. Wymagano od nich ofiar, dawano im prawa, wszystko pod tym warunkiem. Była to polityka racjonalna, uczciwa i dobra dla obu stron". Bardzo byśmy byli wdzięczni p. Feldmanowi, gdyby był raczył nieco bliżej określić tę idealną politykę „od sejmu czteroletniego do Smolki".

Wilja Bożego Narodzenia
przy
Morskiem Oku.

(Ciąg dalszy.)

Mróz wzmagał się, ale najlżejszy wiatr nie przerywał ciszy; na czystem niebie ani jednego obłoczka, po szczytach ani strzępka mgły. Nasze wąsy i brody tworzyły jeden sopel lodu, nogi zapadały coraz głębiej w śnieg, posuwanie się w górę doliny stawało się coraz cięższe i trudniejsze. Zimno, zmęczenie i głód rozpoczęły działanie na nasz stan psychiczny. Rozmowy ucichły, krok stawał się coraz cięższy i wolniejszy, a Mięguszowiecka Turnia zdawała się coraz bardziej oddalać zamiast zbliżać, jakby jakaś zaklęta góra. Nasze panie okryte ciężkiemi futrami dobywały resztek sił. Janusz M zrzucił futro i zostawił je na śniegu, gdyż ciężyło mu zanadto. Minęliśmy już szałasy; las zrzedniał a kosodrzewiny zawalone śniegiem, wyglądały miejscami z pod niego samemi czubkami. Zaczęła się najfatalniejsza droga. Orjentowanie trudne, bo zaspy śniegowe zakrywszy kosodrzew, mniejsze świerki i głazy, zmieniły całkiem powierzchnię terenu, do którego jesteśmy przyzwyczajeni w tej okolicy w czasie letnich wycieczek. Pan Bury prowadzący nas, mimo tego, że jako gospodarz schroniska przy Morskiem Oku zna doskonale okolicę, zabłądził wreszcie. Zamiast iść ku południowi ku Mięguszowieckim Turniom, wleźliśmy na dzikie zaśnieżone zbocze Opalonego Wierchu, przewracając się po zmarzłych stromiznach, zapadając się w śnieg głęboko przy zasypanych kępach kosodrzewiny i młodych smereków. Spostrzegliśmy pomyłkę, ale pomimo że Mięguszowiecki szczyt był widocznym trudno było zorjentować się. Niewypowiedziane zmęczenie i rozpacz zaczęły ogarniać umysły i ciała. Do głowy zaczynał zakradać się ów obłęd, zwykły u zabłąkanych podróżnych. Przez dłuższą chwilę zdawało mi się, że owe ściany Mięguszowieckie, tak dobrze mi znane, tyle razy widziane, tak głęboko wyżłobione na tle pamięci, nie są Mięguszowieckim szczytem, że zabłądziłem w jakiejś nieznanej górskiej okolicy. Zaczęło się szukanie właściwej drogi. Jedna z pań ze zmęczenia nie mogła już iść; chciała siąść na śniegu i tak już pozostać. Przecież w końcu zorjentowaliśmy się i zeszli z Opalonego na właściwą drogę. A czas był już; jeszcze godzina ta-

Co się tyczy prawodawstwa, o ile znamy fakty historji Galicji, wiemy, że stanowisko Żydów regulowane było do r. 1848 głównie prawodawstwem Józefa II., prawodawstwem jak na ów czas liberalnem. Cesarz ten zniósł ghetta, pozwolił Żydom zajmować się rzemiosłami, dał im opiekę prawną na równi z innymi obywatelami, pozostawił jednak niektóre ciężary gniotące ich specjalnie (tzw. Judensteuer), nie dał im wstępu do wyższych szkół, urzędów i dostojeństw i zamknął ich w obrębie ich gmin wyznaniowych. Dodać należy, że w Galicji zniesienie ghetta miało wartość praktyczną chyba w jednem lub dwóch większych miastach, wiemy bowiem, że za polskich czasów Żydzi nie żyli wcale zepchani w obrębie murów ghetta, lecz osiedlali się swobodnie (tj. za zezwoleniem dziedzica lub królewskiego starosty) po miasteczkach i po wsiach, gdzie się trudnili szynkarstwem i przekupnictwem tak, jak i dziś.

Swe dzisiejsze położenie prawne, tj. przyznanie zupełnego równouprawnienia obywatelskiego i zniesienie podaku wyznaniowego, zawdzięczają Żydzi konstytucji 1848 roku, której w tym względzie, tak samo jak zniesienia pańszczyzny, reakcja późniejsza już cofnąć nie śmiała. O ile sobie przypominamy, głównym rzecznikiem żydów był wówczas Mannheimer, rabin szląski, a z grona posłów galicyjskich przemówił gorąco w ich interesie poseł tarnopolski Jan Fedorowicz, Rusin z urodzenia. Smolka, o ile wiemy, wcale wówczas w tej sprawie głosu nie zabierał. Również nie przemawiał on w r. 1866, kiedy hr. Gołuchowski postawił był wniosek o równouprawnieniu Żydów przez pozwolenie im nabywania własności nieruchomej, a ks. Guszalewicz postawił wniosek odwrotny — ograniczenia praw Żydów w tym względzie. Wniosek ten w Sejmie galicyjskim nie został załatwiony; załatwiła go implicite konstytucja grudniowa.

P. Feldman ostrzega dalej społeczeństwo polskie, „by nie stawiało żydom zbyt absolutnych wymagań i nie zapominało o podstawie, na jakiej się u nas odbywa rozwój polonizacji Żydów. Ta podstawa historyczna jest bardzo słaba... Rząd Polski szlacheckiej był dla Żydów macoszy... W Krakowie do niedawna istniało ghetto... Jeżeli zaś od r. 1848 społeczeństwo polskie zrobiło coś dla Żydów, to ci z pewnością nie pozostali dłużnymi wdzięczności i wzajemnych usług". Pomijając już oryginalne pojmowanie patrjotyzmu, opartego na zasadzie „do ut des", podnieść musimy, że wbrew twierdzeniu p. Feldmana historyczna podstawa do polonizacji Żydów wcale nie jest tak słaba, jak on powtarza opierając się na zdaniu Smoleńskiego. Że rząd polski nie był rządem wzorowym, między innemi także i w kwestji żydowskiej, to chętnie przyznajemy, lecz bądź co bądź nie był on dla nich znowu i tak macoszym, jak twierdzi p. Feldman. Dość przeglądnąć *Volumina legum* lub ten wyciąg z nich, który zestawił p. Gumplowicz w swej pracy „Prawodawstwo polskie wobec Żydów", i porównać te polskie ustawy z tem, co się działo z żydami prawnie i nieprawnie w innych krajach Europy, by się przekonać o tem, że Żydzi niedarmo obrali sobie Polskę za drugą Palestynę. Tak samo nie myślimy bronić i dawnej szlachty polskiej, ale i tutaj przyznać musimy, że

---

kiego błądzenia — a musielibyśmy umarznąć na śniegu. Ruszyłem z p. Burym przodem, upadanie i zapadanie w śniegu odbierało resztę sił; nie było już poprostu ochoty i siły, aby wstawać raz upadłszy. Wreszcie Bury pokazał mi czerniejącą w dali wozownię schroniska. Ostatniemi siłami powlekliśmy się dalej. Księżyc zniżał się już ku Mnichowi — do zachodu. Jeszcze kilka ciężkich nad wyraz kroków w górę po śniegu — i stanąłem na grobli.

Przedemną było Morskie Oko...

Ale nie owo sławne jezioro stopionego szmaragdu, nie owa „perła gór naszych", „Mekka Tatr", „płynna tęcza" jak opiewają je karawany prozaików i poetów, zdążające corocznie pielgrzymką do niego — ale jakby jakiś biały duch tamtego Morskiego Oka, jakby biała pozagrobowa mara tamtego jeziora, pogrzebanego pod lodem i śniegiem, wynurzyła się przed memi oczyma z cieniów nocy. Równe, gładkie, owalne pole śniegowe, rzucone na labirynt urwisk białych, poszarpanych podpierających sklep nieba, lodowa, mroźna, przeraźliwa pustka owiana ciszą i milczeniem śmierci, oświecona bladem światłem księżyca, jakiś zakątek podbiegunowych pustyń — to Morskie Oko w wieczór wilijny.

Biała mara jeziora wiała od siebie chłodem i zimą, budząc w duszy marzenia o ogniu. Zjechaliśmy z p. Burym po pochyłości na werandę schroniska, zawaloną śniegiem. Po chwili zjawiła się reszta towarzystwa. Weszliśmy do kuchni schroniska. Rozpaliłem ogień, Bury wyszukał lampę — usiedliśmy gdzie kto mógł, jak najbliżej ognia. Było trzy na 8 mą. Drogą od Łysej do Morskiego Oka w lecie przebywa się w dwie godziny. My potrzebowaliśmy ośmiu godzin.

Trzeba czekać na górali, niosących nasze zapasy żywności, futra i koce. O tem wiedzieliśmy wszyscy, klapiąc zębami od zimna; tylko panie miały futra na sobie, my tylko serdaki i dwa koce. P. Bury miał przypadkowo herbatę przy sobie. Nie było wprawdzie cukru, bo nieśli go wraz z innemi rzeczami górale, ale postanowiliśmy, nie czekając ich przybycia ogrzać się herbatą bez cukru. Dwa kotliki znalezione w schronisku zaczęły niebawem kipieć na ogniu. Oczywiście w braku wody użyliśmy śniegu do herbaty. Ale kotliki były zanieczyszczone — herbata miała smak tak okropny, że panie nasze, choć kostniały od zimna, nie mogły odważyć się na wypicie jej. Za to my, wytrawniejsi „taternicy" zatkawszy nosy, piliśmy obficie tę miksturę, przypominającą wprawdzie

wobec Żydów nie była ona tyranem, przeciwnie, zbyt często była dla nich aż nadto pobłażliwą. Prawda, kronika Żydów w Polsce wykazuje jeden pogrom — ogromny, krwawy, przypominający pogromy za Tytusa lub Bar-Kochby: to był pogrom Żydów na Ukrainie w r. 1648-49 za czasów Chmielnickiego. Lecz zapytajmy się, czem wywołaną była ta klęska? Wszakżeż nie dobrodziejstwami, jakie świadczyli Żydzi narodowi ukraińskiemu, lecz właśnie wyzyskiem i zdzierstwami, jakich się dopuszczali pod osłoną tej wolności, jaką się cieszyli w Polsce.

A wreszcie: czy polonizacja Żydów rozwiąże kwestję żydwską w naszym kraju? Dwie okoliczności należałoby tutaj wziąć pod rozwagę. Po pierwsze: faktem jest, że w Niemczech Żydzi są od dawna zgiermanizowani, we Francji zfrancużeni, a przecież właśnie w Niemczech i we Francji podnosi głowę groźny ruch antysemicki. Co to znaczy? Wszakże uobywatelenie Żydów zostało tam w zupełności dokonane, procent Żydów, mieszkających w owych krajach, ani w porównanie iść nie może z procentem ich u nas, a mimo to przeciwko nim podnosi się sztandar odrębności rasowej, wyznaniowej czy jakiej tam chcecie. To zmusza nas z góry sceptycznie zapatrywać się na asymilację narodową, jako na panaceum w tej sprawie. A po wtóre: kreśląc receptę polonizacji dla Żydów, p. Feldman powinien by był pomyśleć o pewnych granicach geograficznych, po za któremi recepta ta traci rację swego bytu. Niewątpliwie można ją uznać za słuszną dla Warszawy, dla Krakowa, dla Rzeszowa — ale czy także dla Tarnopola, Zbaraża i Berdyczowa? Zdawało by się, że p. Feldman, sam urodzony na ziemi ruskiej, przynajmniej czuciem będzie musiał zgadnąć, że jeżeli już Żydzi mają się zlewać etnograficznie z masą ludności krajowej, to nie może to znaczyć niczego innego, jak tylko to: gdzie masa ludności, zwłaszcza ludności pracującej jest polską, tam i Żydzi powinni z nią się asymilować i stawać się Polakami, gdzie zaś masa ludności jest ruską a Polacy są przeważnie warstwą panującą, tam przechodzenie Żydów na stronę owej warstwy nie będzie załatwieniem sprawy, a przyspieszy chyba wybuch groźnego ruchu antysemickiego, od którego p. Feldman chciałby niewątpliwie kraj nasz uchronić.

Tyle co do zasadniczej myśli p. Feldmana. O jego polemice z Sjonistami jakoteż o zarzutach, jakie podnosi przeciw społeczeństwu galicyjskiemu, pomówimy w dalszym ciągu artykułu.

Iwan Franko.

Młodzież akademicka w Romunji.

W jednym punkcie zachodzi pewne podobieństwo losów politycznych Polski i Romunji, a mianowicie w rozszarpaniu jednej i drugiej przez życzliwych sąsiadów. Lecz na tem koniec porównania. Gdy bowiem Polska, upadając pod przemocą, stanowiła już od wieków dziewięciu organizm państwowy, który właśnie miał się przez konstytucję 3 Maja zreformować, odnowić i ustalić, gdy po rozbiorze z każdym rokiem aż do dziś, poczucie narodowości i jedności narodowej wzmagało się,

---

smakiem i wonią prażony amoniak, ale za to gorącą. Co prawda my — nie mieliśmy futer na sobie i musieliśmy za jakąkolwiek cenę zagrzać się czemś, więc piliśmy ten emetyk. Panie zadawalniały się swemi futrami.

Górali z jedzeniem i końmi nie było widać. Czekaliśmy z niecierpliwością, nasłuchując pilnie, czy nie odezwą się z dali ich głosy. Ale godziny mijały jedna za drugą, nic nie przerywało głuchej ciszy górskiej. Zwolna do głodu i zimna zaczął przyłączać się strach, czy górale przybędą w ogóle. Gdy zaś księżyc zaszedł i wieczór przeszedł w noc późną a górali jeszcze nie było — wtedy straciliśmy już nadzieję spożycia wilijnej wieczerzy przy Morskiem Oku; natomiast umysły opanował strach o los górali. Musiało ich coś zaskoczyć, skoro nie przybyli. Przypuszczenia, że konie padły w drodze, że górale wśród takiej zimy zmuszeni nocować na śniegu umarzli, upiwszy się poprzednio trunkami z naszych zapasów, zaczęły nurtować nam po głowach i przybierać coraz wyraźniejsze formy rzeczywistości w miarę postępowania nocy. Wreszcie, gdy oczekiwanie wydało się już bezowocnem, urządziliśmy dla pań posłanie z materaców na stole, okryliśmy je czem było można i namówili do spania.

Tak zatem o chłodzie i głodzie, w strachu o życie górali zakończyliśmy marzenia o wilji we wnętrzu Tatr, przy zamarzniętem Morskiem Oku, w głębi zawalonej śniegami i lodami pustyni.

Kobiety zasnęły niebawem; my w czwórkę skupieni przy ogniu w serdakach i dwóch kocach przesiedzieliśmy całą noc, dzwoniąc zębami i pijąc ów herbaciany emetyk, który za każdym razem wydawał się gorszym i ohydniejszym. Od czasu do czasu drzemaliśmy na chwilkę, ale mróz budził wkrótce do rzeczywistości, zresztą trzeba było ciągle ogień podtrzymywać. Herbata gorąca, postawiona na stole obok pieca, marzła po niedługim czasie w szklance. O 3-ciej w nocy wyszedłem na werandę schroniska po śnieg do kotlika. Księżyca już dawno nie było, gwiazdy iskrzyły się jasno, mróz był poprostu straszliwy. Morskie Oko tonęło w pół mroku, najmniejszy powiew nie zamącał ciszy. Żaden opis nie potrafi oddać grozy milczenia i ciszy, które zaległy tę zamarzłą pustkę. W kilka godzin później oglądaliśmy wschód słońca, witając go skostniali od zimna i głodni z niewygody.

(D. n.) *F. H. Nowicki.*

rosło i przenikało w masy ludu: Romunja nie zdołała nigdy, ani sformować rzetelnego ustroju państwowego, ani w mieszkańcach nie obudziła się duchowa potrzeba zespolenia się w jeden naród. Dziś nawet tkwi jeszcze głęboko odrębność szczepowa, i zachował się nawet pewien antagonizm pomiędzy Wołochami a Mołdawianami. W tym kotle naddunajskim, Romunją zwanym, pozostawiły najrozmaitsze ludy swe osady; a gdy się dobrze przypatrzysz dzisiejszej społeczności rumuńskiej, wnet się przekonasz, że jeszcze stanowi ona tylko zlepek różnorodnych żywiołów, które bynajmniej nie wykrystalizowały się dotąd w jednolitą narodowość. W żyłach ludu płynie wielka domieszka krwi słowiańskiej i cygańskiej, w innych warstwach dużo potomków po Grekach i Bułgarach, nie brak Węgrów, Niemców, Włochów, Francuzów, Szwedów, Hiszpanów, Albańczyków, Ormjan, a nawet Tatarów. Samych Żydów jest 270.000. Przez wieki ciążyła nad Romunami twarda ręka Turków, a gdy ta w końcu osłabła, wtedy spadła szarańcza Fanarjotów na nieszczęśliwy naród, która mu wyssała wszystkie soki żywotne, tak że zaledwie poczuwał się stworzeniem bożem. Nie twierdzę, żeby poczucie narodowe nie żarzyło się w sercach Romunów i dawniej zwłaszcza od pamiętnego dla wszystkich narodów r. 1848-go, ale dopiero wojna 1877 r. i obwołanie Księstw naddunajskich państwem niepodległem spowodowało, narzuciło formalnie myśl zjednoczenia się wszystkich Romunów. Mimo to rząd jej ze względów politycznych i dyplomatycznych pojąć nie mógł, a naród jej nie rozumiał. Potrzeba było lat kilku i pewnego oswojenia się z nowem położeniem, zanim sprawa ta dostała się we właściwe ręce.

Pierwsza wzniosła sztandar jedności narodowej młodzież akademicka w Bukareszcie, do której przyłączyła się niebawem i jasska, wkrótce zaś cała inteligencja narodu. Młodzież ta z całą rozwagą wypracowała plan, ogłosiła program, rozdała hasła, a potem z zapałem wzięła się do pracy, którą rozdzielono na wewnętrzną i zewnętrzną Przedewszystkiem postanowiono zawiązać wielkie towarzystwo dla krzewienia i obrony, gdzie tego potrzeba, oświaty narodowej i nabytków wspólnej kultury, dla szerzenia idei jednoplemienności i niesienia pomocy moralnej rodakom, ujarzmionym i gnębionym przez Moskali, zwłaszcza przez Węgrów. Podczas każdych wakacji rozbiegała się młodzież po całym kraju, zwiedzając miasta, miasteczka i sioła w tym jedynie celu, aby wynajdywać odpowiednich ludzi, głosić słowo o jedności narodowej wszystkich Rumunów, nakłaniać do tworzenia kółek miejscowych, do zbierania składek na ulotne pisma, odezwy i środki żywej propagandy.

Odczyty, deklamacje, koncerty, przedstawienia sceniczne, zjazdy gromadne i t. d., wszystko to służyło, aby nadać jak największy rozgłos sprawie i zjednać jej jak najwięcej zwolenników. Owocem tych zachodów jest obecna „Liga kulturalna“, z centralnym komitetem w Bukareszcie, z całą siecią filji na prowincji i z przeszło 15.000 członków. Dochód roczny sięga do 100.000 fr. Pomiędzy Romunami siedmiogrodzkimi, a mieszkańcami wolnej Romunji, zawiązały się niezmiernie ożywione stosunki i wszechstronne porozumienie co do wspólnej pracy, mającej na celu obronę i rozwój narodowości na drodze całkiem prawnej. Odbiło się to i w Bukowinie, w której ostatniemi czasy partja rumuńska podniosła głowę i wprost przeszła do zaczepnej walki z innemi narodowościami tamże. Tylko na Besarabji panuje cisza grobowa pod knutem moskiewskim.

Przygotowawszy się należycie przez zebranie materjału dowodowego, młodzież rozpoczęła czynną kampanję z Węgrami na polu publicystyki. Tak w rumuńskich, jak w zagranicznych czasopismach, przychylnych sprawie uciemiężonych narodów starała się ona przez szereg znakomitych artykułów wykazać nadużycia, jakich rząd madziarski dopuszcza się na każdym kroku w szkole, sądzie i administracji wobec Romunów siedmiogrodzkich, jak się nawet znęca nad nimi. Po tej tyraljerskiej zaczepce uderzyli studenci tutejsi na ostro dziełkiem politycznem, wydanem na wiosnę r. z. pod tyt. „Studjum, poświęcone przez słuchaczy wszechnicy rumuńskiej wyjaśnieniu położenia swych współrodaków we Węgrzech i Transylwanji“, w którem zebrana jest wielka moc faktów, udawadniających w niezbity sposób okrutną, na wynarodowienie Romunów, Sasów i Słowian obrachowaną politykę madziarską, niecofającą się przed żadnem prześladowaniem, wcale nie przebierającą nawet w najgorszych, najniemoralniejszych środkach. W broszurze tej przedstawieni są Węgrzy jako dziksi od Moskali nawet gwałciciele. Łatwo sobie wyobrazić, jak potężne musiała ona wywołać wrażenie na publiczności, skoro ujawniła nowy Sybir w środku Europy. Nic też dziwnego, że Węgrzy pospieszyli z odpowiedzią w pisemku ulotnem, zatytułowanem: „Romuni we Węgrzech, a narod węgierski“, napisanem przez studentów peszteńskiej wszechnicy. Niestety! Pisemko to okazało się silnem w obelgach, lecz bardzo słabem w zbijaniu faktów, podanych przez przeciwników. Wskutek tego walka wywiązała się namiętniejsza, gwałtowniejsza. (D. n)

Dr. Łukaszewski.

MODUS IN REBUS.

Obrazek z życia wiejskiego

przez

ADOLFA DYGASINSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Panu Piotrowi wypadło nieraz jechać za interesami, wówczas posyłał sobie umyślnie po Mordkę i brał go ze sobą w drogę, ażeby mieć swojego własnego faktora. Wyszmoński lubił nieraz pokpić z tego żyda, czasem go za drzwi wyrzucił, wytar-

gał za uszy, psami poszczuł lub podstępnie dał zjeść co trefnego.

Ale jednego razu dziedzic Krzepówka potrzebował owczarza i Mordkę obarczył całym zachodem nastręczenia takiego sługi. Faktor niebawem pojawił się w Krzepówku z owczarzem, za co otrzymał trzy złote wynagrodzenia; ale widocznie go to nie zadowolniło, bo jeszcze od nastręczonego owczarza wyłgał cały zadatek, coś około pięciu złotych. Pan Piotr dowiedział się o tem z boku i postępek ów Mordki tak bardzo go oburzył, że postanowił surowo ukarać nadwornego faktora. Przyzwawszy więc do siebie ekonoma, tak mówił:

— Mój Cudosiu, tylko mi się też dziś popisz, panie bdziu!... Posłałem do Bochni po Mordk ; jak przyjdzie, będzie stał w ganku, bo go, panie bdziu, naumyślnie nie każę wpuszczać do dworu. Ty mi pilnuj żyda, uważasz, gwałtów żadnych nie rób, tylko jak najgrzeczniej zwab kundla do śpichlerza; no i tam, panie bdziu, daj mu baty!... Nie żałuj ręki, mój Cudosiu, żeby dobrze poczuł; ale ciągle jak najgrzeczniej, uważasz?

— Słucham pokornie łaski pana dziedzica. To niby bić, a czapkować?

— To-to-to!...

Jak pan Piotr powiedział, tak się stało. Mordko przybył z Działoszyc i przed gankiem czekał na audjencję; skoro go tylko Cudowski spostrzegł, zaraz przystąpił, skłonił się grzecznie i rzekł:

— Aaa, pan Mordka! Kłaniam uniżenie! Jak człowiek szczęśliwy! Ani się pan nie spodziewasz, co dziś dostaniesz za prezent... Trudno, fantazja pańska!

— Ny, pan dziedzic mi dawno obiecał pszenicy na mace. Czy pan rządca nie wie o tem?

— Żydowi i szlachcicowi zawsze dobrze, ale nie biednemu oficjaliście! — rzekł Cudowski z westchnieniem, a później dodał: — Pójdź pan do śpichlerza po swój prezent... Moja psia powinność dać, co kazali, a dziedzicowi pan Mordka za to podziękujesz.

Zaciekawiony faktor udał się z Cudowskim do śpichrza, gdzie nań czekało natychmiast dwóch nasadzonych parobków; ci rozciągnęli Mordkę, a ekonom wyliczył mu trzydzieści odlewanych bizunów, za każdym z nich powtarzając;

— Najmocniej przepraszam, Panie Mordka, proszę się na mnie nie obrażać!... Ekonom jestem, ale szlachcic rodem; delikatność, grzeczność, jak największa!

Faktor wrzeszczał w niebogłosy — nic nie pomogło. Po skończonej operacji, Cudowski kłaniał mu się nisko, stojąc z odkrytą głową, i mówił;

— Szlachcic jestem, upadam do nóg, delikatność, grzeczność największa!

Mordka myślał, że się ekonom upił i w nieprzytomnym stanie umysłu dopuścił się nadużycia.

Pobiegł żyd teraz do dworu, dostał się do dziedzica i z płaczem opowiedział, co go spotkało.

— Ee, Mordka, co ty mówisz, panie bdziu?... A to szelma jeden, ten Cudosio! I bardzo cię bolało?

— Aj waj, wielmożny panie! Boli, boli!...

— A powiedzże mi, czy ci aby nie wymyślał?

— Wielmożny panie, to łajdak, pijak!... On mnie bił, a ciągle mówił: „Panie Mordka, przepraszam!...“

— Czy cię aby w twarz nie uderzył, panie bdziu?... Bobym świniarza zaraz ze służby wyrzucił! — rzekł Wyszmoński, udając oburzenie.

— Jabym wolał, żeby on mnie w twarz bił!... On nie w twarz bił... Niech jego wielmożny pan wyrzuci, ja nastręczę porządnego ekonoma! — mówił Mordka nawpół z płaczem.

Zabrał się pan Piotr i razem z zapłakanym żydem poszedł do śpichrza, gdzie się jeszcze Cudoski kręcił, mrucząc pod nosem:

— Widzicie go, żydów mi każe bić!... Na co to dzisiaj schodzi oficjalista?... Żyda bij i jeszcze bądź grzeczny!... Psiakrew, lepiej kamienie tłuc na szosie!

— Cudosiu, panie bdziu, świniarzu jeden, tyś dzisiaj coś przeskrobał! — krzyknął nagle pan Piotr, za którym się chował Mordka.

— Słucham pokornie łaski pana dziedzica... Żebym ręce i nogi w dziesięcioro połamał!... Dwa chamy mogą zaświadczyć: delikatność, grzeczność, jak największa!... Czapka w ręce, a swoją drogą w cymbały bęc!... Niech chamy powiedzą...

— Kiedy ci mówię, panie bdziu, żeś przeskrobał, to się nie tłómacz, świniarzu jeden, boś przeskrobał!

— Słucham pokornie...

— To słuchaj, a nie gadaj, panie bdziu!... Powiedz mi, Cudosiu, czy grzesznik tylko ludzi gorszy i obraża?

— Pana Boga także.

— A więc pokuta grzesznika powinna zadosyć uczynić nietylko sprawiedliwości ludzkiej...

— Ale i sprawiedliwości boskiej.

— Kto oszukał owczarza na pięć złotych, czy obraził, panie bdziu, mnie i Pana Boga?

— Słucham pokornie łaski pana dziedzica... Obraził!

— Widzisz, Cudosiu, cymbale jakiś, panie bdziu, to ty za mnie dałeś grzesznikowi trzydzieści batów, a za Pana Boga co?... Nie powiedziałem ci, świniarzu, żeś przeskrobał? Cóż to za rachunek znowu?... Gadaj zaraz, ileś dać powinien!

— Pół kopy od pana dziedzica i pół kopy od Pana Boga, co czyni kopę całą.

— I nadczem że jeszcze myślisz, błaźnie, panie bdziu!

— Żeby Pana Boga nie obrażać, trzeba grzesznikowi, ten tego, dołożyć...

Jeszcze Cudowski nie skończył mówić, a już Mordko wziął nogi za pas i, trzymając w jednej ręce podwinięte poły chałata, pospiesznie zmykał ku Działoszycom.

— Łapaj! Bierz go!... Trzymaj! — krzyknął ekonom, rzucając się w pogoń za faktorem, któremu krzyk zdawał się jeszcze dodawać energji do uciekania.

A Wyszmoński zrobił sobie z dłoni daszek nad oczyma i z uśmiechem mocnego zadowolenia spoglądał za uciekającym żydem.

II.

Po panu Piotrze nastąpił w Krzepówku jedyny syn jego, Ryszard.

Był to dobrego wzrostu brunet, miał wąsy jakby pędzelkiem namalowane, wyraźnie odbijające na bladej matowej twarzy; dwa łuki czarnych brwi świetniej połyskiwały, aniżeli przymrużone lub szkiełkami przykryte, jakby z dwóch wąskich szpar wyglądające oczy. Niezbyt obfite, lecz miękkie, jedwabiste włosy, były rozdzielone przez sam środek głowy od przodu i od tyłu. Zawsze pachnący, wyświeżony, strojny, młody Wyszmoński rzadko kiedy tydzień przesiedział w domu.

Odebrał on Krzepówek wybornie zagospodarowany, w korzystnych warunkach; cacko nie wieś!... Cztery szpaki do zaprzęgu, kary i kasztan wierzchowce, stały w cugowej stajni, a koło domu uwijały się wielkie dogi i wilk obłaskawiony.

Jak na jednego człowieka, urządzenie domu było pańskie: pierwszorzędny kucharz, dwóch lokajów w kredensie, s'angret — wszystko w liberji ze srebrnemi herbowemi guzami. Krzepówkiem zarządzał teraz wysoko płatny rządca, który do pomocy trzymał sobie ekonoma i pisarza prowentowego.

Pan dziedzic wstawał około południa, długo się ubierał, potem pił herbatę, jadał śniadanie, przejechał się wierzchem na spacer i o siódmej siadał do obiadu, który w niczem nie był podobny do staroświeckich obiadów nieboszczyka ojca; teraz różne dania nosiły francuskie nazwy, francuskie też były na stole wina, likiery, pasztety, sery...

Do nowego dziedzica nikt się nie ważył przemawiać: „panie dziedzicu", albo: „wielmożny panie". Cała służba z szacunkiem wymawiała: „jaśnie panie". Bo pan Ryszard bywał na dużym świecie, miał znajomość z hrabiami, a nawet książętami i naśladował sposób ich życia. Jeździł do wód zagranicznych a modnych, do Paryża i zwykle zawadzał o Monaco.

W trzy lata po śmierci ojca rozszedł się znaczny kapitał, zebrany mozolnie przez starego Wyszmońskiego w ciągu całego życia. Dochody z Krzepówka nie pozwalały na pańskie życie, do którego przywykł pan Ryszard, więc trzeba było pieniędzy pożyczyć. A od kogoż można pożyczać, jeśli nie od żydów?

Do tego brudnego motłochu, cuchnącego czosnkiem, cebulą i Bóg wie czem jeszcze, nigdyby się nie był zbliżył młody dziedzic Krzepówka, gdyby nie potrzeba pieniędzy. Przedtem niedostępny, począł się później półpanek demokratyzować, tak iż nieraz znaczną część czasu przepędzał w towarzystwie faktorów, kupców, lichwiarzy.

W ośm lat po objęciu dziedzictwa, pan Ryszard zdołał już obciążyć Krzepówek długami, które przewyższyły wartość majątku; w dalszym więc ciągu przyszło zaciągać długi tylko w sposób nadzwyczajny. To też Wyszmoński cudów dokazywał pod tym względem: zboże, wełnę sprzedał, jeśli się dało, dwa albo i trzy razy; ba, sprzedał nawet przedmioty fikcyjne, naprzykład rzepak, którego w Krzepówku nigdy nie siano.

W końcu, dla braku pieniędzy, przestał się pokazywać wśród wielkich panów; ale i na skromniejsze życie już mu nie wystarczyło. Oprócz pieniędzy i kawałka ziemi, odziedziczył on był po ojcu dowcip, oraz wyborny humor, czem się ratował w złej doli. Pan Ryszard, podobnie, jak niegdyś pan Piotr, lubił płatać figle żydom, z którymi prowadził interesa; cała różnica między ojcem a synem była w tem, że starego żydzi oszukiwali i on umiał ich za to dowcipnie karać, podczas, gdy młody silił się na dowcip, aby żydów w pole wywieść.

Rychło też Ryszard Wyszmoński wyrobił sobie opinję takiego „finesa", że żydzi z Bochni i innych miasteczek zdaleka obchodzili dwór w Krzepówku. Nim to jednakże nastąpiło, nim wierutna bieda wkroczyła w progi szlachcica, bardzo ucieszne sceny z żydami nieraz miewały miejsce.

Żył jeszcze w Krzepówku pachciarz Icek, którego nieboszczyk pan Piotr nazwał był „drukarzem" za podrabianie kwitków i ta nazwa pozostała już Ickowi na całe życie, a nawet przeszła na jego syna.

Otóż „drukarz" z góry za trzy lata wypłacił panu Ryszardowi należność za pacht, od czasu do czasu dopożyczał pieniędzy, zaliczając już na lata następne, a swoją drogą gonił po świecie i poszukiwał pieniężnych żydków, którzyby zgodzili się na udzielenie pożyczki panu dziedzicowi. Włóczyło się żydzisko po licznych miasteczkach, i po największej części bez skutku.

— Co zrobić, jaśnie panie, kiedy ludzie pieniądzów nie mają?

— No, no, już ty mi nie mów! Wyrzucę cię z pachtu i znajdę sobie takiego, co mi na zawołanie pieniędzy wyszuka... Żeś zapłacił za trzy lata z góry, to nic nie znaczy. Ruszaj w świat i szukaj, póki nie znajdziesz, a inaczej, na oczy mi się nie pokazuj! (C. d. n.)

PIESZCZOSZEK.

Rozbił lusterko... „Daj drugie, mamo!"
„Weź, weź, malutki." — Zrobił to samo.
„Figlarzu mały!" — „Daj szyldkretowy
Grzebień, a z niego wnet dwie połowy
Zrobię... O, widzisz?... Teraz połamię
Ten biust... zetrę na miałki proszek."
„Nie, nie, nie można!" Dał klapsa mamie
Luby pieszczoszek.
„Stłucz, mój jedyny!" — I marmur biały
Poszedł w kawały.
Zkąd te fantazje, chcenia wciąż szersze?
Lubił lusterka, teraz marmury...
Zapewne będzie on pisał wiersze
I bujną myślą sięgał w lazury?...
E, nie!... Zakochał się w prozie:
Wyrósł, pieniądze skradł i siedzi w kozie.

K. Gliński.

Notatki z prasy perjodycznej.

Czwarta dzielnica. W *Przeglądzie Emigracyjnym* czytamy o Polakach w Stanach Zjednoczonych:

Półtora miljona a może już 2 miljony ludzi świadomych tego, czem są, wolnych, zamożnych i jako tako już oświeconych w polskiej szkole tamtejszej, a przedewszystkiem w praktyce życia amerykańskiego nie dadzą się tak łatwo wynarodowić nawet przez Jankiesów. Dorasta teraz w wielu osadach już trzecia generacja polska, dorodnej budowy ciała, o pięknych rysach twarzy i o żywym temperamencie skutkiem lepszego odżywiania się fizycznego i duchowego niż w starym kraju...

Stojąc tu u nas na najniższym poziomie inteligencji, zmieniają się tam nie do poznania, stają się rozumnymi i wykształconymi obywatelami...

Są w Stanach Zjednoczonych całe kraje, jak Galicja(?) z przeważającą aż do 80 i 90% ludnością szczero polską, n. p. północna część stanu Wiskonsin, pewne części północne stanu Michigan i Michigański półwysep wchodzący w jezioro Huron. W dzielnicach miasta Chicago jak Stanisławów, Wojciechów i. t. p. jest 100.000 ludności polskiej, w Buffalo „na Polsce" jest 56.000, miasta Milwauke, Detroit, Nowy-Jork-Broklin, mają do 40.000 każde, Cleveland (dzielnica Kraków i Poznań) do 25,000 — pomniejszych siedzib polskich nie wyliczamy. Polacy dobrze się trzymają nie tylko w pobliżu jezior wielkich na północy, lecz też i na dalekiem południu i zachodzie przy Oceanie Spokojnym. Np. w stanie Teksas znaczne kolonje polskie uprawiają przednią bawełnę... Na północ od Kalifornji nad Oceanem Spokojnym w stanach Oregon i Washington, przewyższających obszarem całe Austo-Węgry, a nadzwyczaj zdrowym i pięknym cieszących się klimatem, Polacy, tak jak w Brazylji, celują w karczowaniu cudownych dziewiczych lasów tamtejszych .. Przy uzyskaniu jedności bratniej pomiędzy Polakami północno-amerykańskimi jest rzeczą zupełnie możliwą, zwrócić się większemi masami do tych 2 północno-zachodnich stanów i w jednem z nich przynajmniej mieć liczebną przewagę, bez najmniejszej krzywdy dla olbrzymiego ciała politycznego Stanów Zjednoczonych...

Jest już więc chyba dosyć danych, aby społeczeństwo nasze w starym kraju ocknęło się z tej apatji, z jaką patrzy na naszą emigrację, żeby się nią zajęło i nie lekceważyło sobie tych mas polskich na drugiej półkuli, które w każdym razie mogą wielkie usługi oddać sprawie narodowej. W tym celu musi ono — jak się wyraża redakcja na innym miejscu w tym samym numerze — ująć w należyte koryta wychodźtwo nasze, płynące roczną falą 60.000 ludzi, i przyczynić się do zorganizowania jego na miejscu, gdzie się osadza, w taki sposób, aby odłamy naszego narodu nie przepadały pod jakimbądź względem, lecz żyły i jak najbujniej się rozrastały.

Z ruchu literackiego.

Marja Weryho: Las — książka przeznaczona dla dzieci od lat 6-ciu do 10-ciu. Warszawa 1893.

W dwudziestu kilku barwnych opowiadaniach, składających się na treść książki, ozdobionej licznemi rycinami, autorka zapoznaje młodych swych czytelników z fauną i florą naszych lasów. Materjał naukowy opracowała p. Weryho w formie zajmujących powiastek, których bohaterowie, jak: kuna, czyżyki, dzika kaczka i t. p., opowiadają najczęściej sami o sobie zrozumiałym i zajmującym dla dzieci językiem to wszystko, co mówią o nich suche podręczniki szkolne. Dla bliższego przyjrzenia się szczęśliwie wyzyskanej przez autorkę metodzie, weźmy pierwsze z brzegu opowiadanie p. t. „Dwa czyżyki". Zaczyna się ono dyskusją młodej pary nad tem, gdzie mają sobie uwić gniazdko. Samiczka radaby je umieścić na gibkiej, wysmukłej brzozie, praktyczniejszy i bogatszy w doświadczenie samiec tłumaczy towarzyszce niedogodności i niebezpieczeństwa, jakieby stąd mogły wypłynąć i skłania jej opinję na korzyść jodły, ulubionego przez czyżyków drzewa. Dalej przypatrując się pracy ptaszków przy budowie gniazda, poznajemy jego kształty oraz materjał budowlany i trudności z jakiemi skrzydlaci budowniczowie takowy gromadzą. Z powierzchownością czyża zaznajamia nas jego towarzyszka, pociągając paralelą — bez cienia zazdrości nota bene — między barwnem jego upierzeniem, a swoją, o wiele skromniejszą szatą. Podziwia ona także z radośnem zadowoleniem piękny głos małżonka, nie martwiąc się zgoła, że sama, ile razy probuje zaśpiewać, „kwili, kwili i ani rusz dalej". A że zdolności wokalne, jakiemi natura obdarzyła czyżyka-samca, doskonalić się mogą przy odpowiednem kształceniu, dowiadujemy się w końcu powiastki, gdy bohater, wydostawszy się z więzienia — klatki, gdzie przebywał w towarzystwie kanarka, wraca szczęśliwie na łono rodziny i wprawia ją w podziw „uczonym" swym śpiewem.

Ze sposobem odżywiania się i psychologją czyżów zaznajamiają nas wreszcie zabiegi ich i troski przy wychowaniu potomstwa...

Taką samą jak „Dwa czyżyki", przejrzystością układu i wyczerpującą dokładnością treści odznaczają się wszystkie niemal powiastki w omawianej książce. P. Weryho zna wybornie mały światek, dla którego pisze, potrafi zapanować nad ruchliwą jak fala i jak fala zmienną wyobraźnią dziecka, nie umiejącego jeszcze myśleć abstrakcyjnie i uogólniać. To też jeden tylko poważniejszy zarzut można zrobić „Lasowi", a mianowicie, że nie spotykamy w nim bardzo wielu wybitnych przedstawicieli zwierzęcego i roślinnego świata: nie ma tu ani króla lasów, jelenia, ani sarny, niedźwiedzia, dzika, rysia itd. Nie ma takich nawet drzew jak: lipa, sosna, jawor i ani jednej z zarodnikowych roślin, jak: aksamitne mchy, grzyby, czarem poetycznych legend owiane paprocie. Należne im miejsce zajmują natomiast opowiadania, niezaprzeczenie cenne, lecz nie mające nic wspólnego z lasem, jak: „Garbusek", „Pierwsza robota Kazia", „Dobre dzieci".

M.